

2.01.2008

Artyści świadomi i bez ograniczeń

- Co najbardziej ucieszyło mnie w teatrze w roku 2007? Odpowiedź najprostsza brzmi - przedstawienia. Bo jeśli, jak pisał niegdyś Adolf Rudnicki, sercem dnia jest wieczór, to esencją teatru jest przedstawienie. Na szczęście w ciągu ostatnich 12 miesięcy zdarzyło się ich całkiem sporo - pisze Jacek Wakar w Dzienniku w cyklu Zachwyty Teatralne 2007.

Po pierwsze - Krzysztof Warlikowski. Narodził się dla mnie powtórnie, kiedy już prawie trzy lata temu wyreżyserował "Kruma" Levina w TR Warszawa. Już wtedy wydawało się, że polski światek jest za ciasny dla jego teatru i dla niego samego. Że mocne hasła i wątpliwą literaturę spod znaku Sarah Kane zastąpiło doświadczenie dotkliwe, choć do końca intymne. Tytułowy bohater "Kruma" powracał do domu po podróży w życie z bilansem doskonale zerowym. Wielu z nas wtedy na widowni Rozmaitości czuło jego ból i jego pustkę. "Anioły w Ameryce" [na zdjęciu] Tony'ego Kushnera pokazał Warlikowski w lutym w nietypowej przestrzeni warszawskiej SGGW. Plakat pokazywał możliwych tego świata, ktoś zostawił na nim miejsce na jedno zdjęcie, ale ponoć się w ostatniej chwili wycofał, pozostawiając pole do domysłów. W dodatku amerykański pisarz, zażarty krytyk polityki i w ogóle epoki reaganowskiej, opatrzył swoje dzieło podtytułem "Gejowska fantazja na motywach narodowych". To wystarczyło, by na spektakl ostrzyli sobie zęby zarówno strażnicy teatralnego ładu, spodziewając się nie wiadomo czego, jak i miłośnicy szemranych rewolucji. Jak po swoje szli na "Anioły..." rzecznicy mniejszości pewni, że spektakl stanie się pierwszą w polskim teatrze tak zdecydowaną i otwartą deklaracją ich światopoglądu. Wszyscy się przeliczyli.

Z "Aniołów w Ameryce" nie uczynił bowiem artysta "Aniołów w Warszawie", nie zamienił przedstawienia w efektowną nawet agitkę. Zajęła go istota człowieka na przełomie epok, w obliczu tego, co zwykliśmy nazywać dylematami ponowoczesności. A przy tym jego wspaniale skomponowana opowieść dotyka czystym bólem i najmocniejszym wzruszeniem. I rzecz znamienna - z "Aniołami..." Warlikowskiego jest jak z niektórymi, zawsze wybitnymi inscenizacjami Krystiana Lupy. Nie dają spokoju długo, bardzo długo, wciąż rosną w oczach,

na nowo domagają się uwagi, interpretacji.

Warlikowski robi dziś teatr całkiem osobny, podobnie zresztą jak artyści, których wreszcie w tym roku należycie doceniliśmy. Co ich łączy? Zapewne podobny sposób widzenia i odczuwania świata, choć reprezentują całkiem odmienne sceniczne estetyki.

Są przedstawicielami reżyserii świadomej możliwości i ograniczeń teatru, a jednocześnie wyzwania świata i literatury. Nazwiska? Proszę bardzo. Marek Fiedor, Piotr Cieplak, Piotr Tomaszuk, Paweł Miśkiewicz, Mariusz Grzegorzek - na pierwszej linii generacji 40-latków, która po raz pierwszy, bardzo dawna wypełniła w polskim życiu teatralnym rażącą lukę: mówiliśmy przecież, że mamy starych mistrzów i wybitnie zdolnych młodych reżyserów, ale brakuje głosu średniego pokolenia. Teraz ów głos brzmi bardzo mocno, choć artyści ci uprawiają zazwyczaj teatr introwertyczny, nie oglądając się na obowiązujące mody. Patrząc na ich spektakle ze spokojną pewnością - w ich pomysłach nie znajdzie miejsca pieniące się wciąż w najlepsze inscenizacyjne głupstwo.

Piotr Cieplak przejechał się co prawda na "Wątpliwości" w warszawskiej Polonii, ale potrafił wzbudzić gorącą dyskusję polityczną czy wręcz utrzymaną w tonie wiecowego protestu songu przeróbką "Wesela" w Powszechnym ("Albośmy to jacy tacy" - ja byłem absolutnie za), a potem oczarować "Opowiadaniem dla dzieci" w Narodowym. Marek Fiedor po wspomniałym opolskim "Baalu" Brechta pokazał w poznańskim Teatrze Polskim wyciszone "Wyszedł z domu" Różewicza. Nie bawiąc się w polityczne aluzje, uczynił z tego przedstawienia rzecz o przekleństwie pamięci. Piotr Tomaszuk udał się w podróż w przeszłość w poszukiwaniu genezy swej artystycznej trupy. Bo znakomity "Wierszalin. Reportaż o końcu świata" jest o Wierszalinie - miejscu przecięcia wielu światów. Paweł Miśkiewicz w swoim scenicznym eseju na podstawie Ibsenowskiego "Peer Gynta" pytał, "kim jest człowiek, kim jest mężczyzna", i czynił to w widowisku pełnym przewrotnego humoru. Wreszcie Mariusz Grzegorzek, który swe miejsce znalazł w łódzkim Teatrze im. Jaracza. W ubiegłym roku odkrył tam Judith Thompson i jej sztukę "Lew na ulicy". W tym pokazał "Habitat" tej samej autorki, znowu udowadniając, na czym polega dogłębna analiza tekstu i prawdziwa praca z aktorem.

Z ich przedstawień rodzi się wewnętrzny dialog, który jest dziś w naszym teatrze największą wartością. A punktem odniesienia dla niego mogą być inscenizacje mistrzów, choćby telewizyjne "Wyzwolenie" Macieja Prusa czy w jeszcze większym stopniu "Miłość na Krymie" Sławomira Mrożka w reżyserii Jerzego Jarockiego. Stary mistrz pokazał widowisko krystalicznie przejrzyste i ironiczne. Kazał przejrzeć i się w lustrze teatru całej generacji inteligencji, która pożegnała miniony wiek i i z lękiem wygląda nowego. Przejmujące.

Artyści świadomi i bez ograniczeń

Jacek Wakar

Źródło:

Data:

Materiał nadesłany

02.01.2008

Dziennik nr 2